



NATALIA KULPIŃSKA

OSTATNI  
*oddech*  
LATA

Rodzeństwo Roux #1



NATALIA KULPIŃSKA

OSTATNI  
*oddech*  
LATA

Rodzeństwo Roux #1



Copyright © by NATALIA KULPIŃSKA  
Copyright © by Moje Wydawnictwo  
All rights reserved · Wszystkie prawa zastrzeżone

Redakcja: Daria Raczkowiak  
Korekta: Agnieszka Liszowska  
Skład i łamanie tekstu: K&K Designer  
Projekt graficzny książki: K&K Designer  
Fotografia na okładce: canva.com

ISBN Papier: 978-83-68147-66-7  
ISBN Ebook: 978-83-68147-67-4  
ISBN Audio: 978-83-68147-68-1



Moje Wydawnictwo

-  [www.mojewydawnictwo.pl](http://www.mojewydawnictwo.pl)
-  [wspolpraca@mojewydawnictwo.pl](mailto:wspolpraca@mojewydawnictwo.pl)
-  [mojewydawnictwo](https://www.instagram.com/mojewydawnictwo)
-  [mojewydawnictwo](https://www.youtube.com/mojewydawnictwo)
-  [moje.wydawnictwo](https://open.spotify.com/artist/moje.wydawnictwo)
-  [mojewydawnictwo](https://www.facebook.com/mojewydawnictwo)



## PROLOG

Sunny

Każde nasze lato pachniało brzoskwiniami i lemoniadą arbuzową, ale ostatnie zapamiętałam na zawsze, bowiem później już nigdy nie skosztowałam tych owoców.

Słońce brązowiło nasze ciała, a twarze obsypywało piegami. Miękka trawa pod stopami, przesypujący się przez palce piach i chłód wieczornej wody, były częścią tamtych chwil, kiedy w blasku księżyca skakaliśmy z pomostu. Tak wyglądało nasz życie. Zawsze beztroskie, pełne szaleństwa i spontanicznych decyzji. Smakujące wolnością i beztroską.

Milo Roux codziennie odmieniał moje życie. On nim był. Uczył mnie odwagi, pewności siebie i przebojowości. Nie bał się niczego. Był moim idolem.

Nierozłączni – to słowo chyba najlepiej nas określało. Tam, gdzie ja, tam i on. Nie dalej niż na wyciągnięcie rąk, na cichy szept, na... No właśnie, nie rozstawaliśmy się właściwie nigdy. Nie licząc snu, kiedy to każde z nas zaszywało się w swoim pokoju.

Milo był kimś więcej niż tylko przyjacielem czy bratem. To moja bliźniacza połówka. Drugie płuco, które dostarczało mi tlen. On był siłą, a ja spokojem.

Uzupełnialiśmy się niczym Yin i Yang. Łączyła nas niewi-

działna nić i zawsze czułam, kiedy był smutny lub działo się w jego życiu coś złego.

Kochałam w nim wszystko: to, jak śmiesznie wymawiał literkę „R”, kiedy byliśmy w podstawówce. To, że uśmiechając się, w policzkach robiły mu się urocze dołeczki, których on szczerze nienawidził. To, że za każdym razem pytał mnie o zdanie, przepuszczał w drzwiach, a kiedy się skaleczyłam lub uderzyłam, całował to miejsce, mówiąc, że ma magiczne moce uzdrawiania. Brat, o którym marzy każda dziewczyna. Opiekuńczy, waleczny, szanujący mnie i moje zdanie.

Kiedy mieliśmy po sześć lat, powtarzał, że w przyszłości chciałby zamieszkać w domu tuż obok mojego, żebyśmy zawsze byli blisko. Z biegiem czasu te słowa stały się infantylne, więc zwyczajnie je porzuciliśmy, a całą sytuację obróciliśmy w żart. Wiedzieliśmy jednak, że już zawsze będziemy nierozłączni, gdziekolwiek każde z nas zamieszka. Odległość miała nigdy nie mieć znaczenia.

Jak błędne było to myślenie, przekonałam się pod koniec liceum, kiedy świętowaliśmy wolność i marzyliśmy o przyszłości.

W Shelburne mieliśmy zwyczaj spotykania się większą grupą znajomych i nieznajomych nad wodą Shelburne Bay Park. Dziewczyny głównie się opalały, a chłopcy skakali z pomostu do wody. I tym z bratem się różniliśmy – on kochał wodę, a ja się jej bałam. Za żadne skarby świata nie weszłabym głębiej niż do pasa, więc kiedy oni wybierali wysokie pomosty i głębokie wody, ja siadałam na ręczniku i ich obserwowałam.

Tamtego dnia wszystko się zmieniło, a słońce dla mnie zaszło na zawsze. Milo jak zawsze wziął rozbieg, odbił się i skoczył. Tylko że już nie wypłynął, a ja niewiele myśląc, skoczyłam za nim, mimo że nie potrafiłam pływać. Desperacko szukałam go w ciemnej, chłodnej wodzie, dopóki nie zabrakło mi tlenu i czyjeś dłonie nie pociągnęły mnie do góry.

– Zostawcie mnie! Muszę go ratować! Milo! – krzyczałam, choć miałam wrażenie, że nikt mnie nie słyszy. – Błagam, nie zostawiaj mnie! Nie ty! Każdy, tylko nie ty!

Wszystko działo się poza mną. Ktoś wezwał karetkę, ktoś inny mówił do mnie, starając się mnie uspokoić. Tylko że ja nie potrafiłam, nie chciałam. Nie w momencie, kiedy umierała część mnie.

– Sunny! Spokojnie! Musisz być silna! Pozwól nam go ratować – odezwał się chłopak, w którym od zawsze się podkochiwałam, ale nigdy nie zwracał na mnie uwagi. Tylko jego twarz rozpoznałam w tym amoku. – Wszystko będzie dobrze. Wyjdzie z tego.

Uczepiłam się tych słów niczym tratwy. Powtarzałam je w głowie, żeby nie zwariować.

*Wszystko będzie dobrze. Będzie dobrze. Dobrze.*

Nie było dobrze i już nigdy nie miało być.

Do tej pory pamiętam swój krzyk, paniczne błaganie o pomoc, resuscytację, kogoś, kto trzymał mnie ze wszystkich sił, kiedy rwałam się do brata i ten cholerny dźwięk szpitalnej aparatury. Ten ciągły, piszczący sygnał i poziomą kreskę na ekranie maszyny monitorującej funkcje życiowe Milo, który dźwięczał mi po dziś dzień, rozrywając serce na miliony kawałków.

Nadal czuję przeszywający ból w sercu, kiedy pomyślę, że nie mogłam być na pogrzebie człowieka, który oznaczał dla mnie więcej niż życie. Pragnęłam spocząć tam obok niego. Chciałam, by zabrał mnie ze sobą, bo nie na taką odległość się umawialiśmy. Nie na taką tęsknotę...

Nigdy nie zdołałam pogodzić się z tą stratą. Każdej nocy budziłam się z krzykiem, śniąc o pustym spojrzeniu Milo, którego wyciągnęli nieprzytomnego z wody.

Tamto lato straciło swój zapach i smak. Wraz z bratem umarło wszystko, czego mnie nauczył, a ja stałam się wrakiem człowieka. Odebrano mi płuca, bez których nie potrafiłam oddychać.

Nie tknęłam już brzoskwiń i arbusów. Przestałam kochać lato, samą siebie i cały świat.



## ROZDZIAŁ 1

Sunny

*Pięć lat później*

Siedziałam w ostatnim rzędzie, na ostatnich wykładach i pukałam cicho długopisem o ławkę szkolną. Słońce wdzierało się przez ogromne okna, beczelnie świeciło mi prosto w oczy, osłepiając i powodując dyskomfort.

Sunny, tak miałam na imię, a tak bardzo nienawidziłam lata i słońca, bo gdyby nie to, Milo by żył. Nie skoczyłby z tego cholerne-  
go pomostu...

Nie mogłam się skupić na tym, co mówił wykładowca, ale i nie miałam w zasadzie takiej potrzeby. Nienawidziłam tych studiów, a wybrałam je tylko dlatego, że były bezpieczne. Nijakie tak samo, jak i ja.

Do studiowania statystyki i analizy danych namówił mnie tata, który kochał cyferki. Bez namysłu poszłam w jego ślady, bo sama na siebie nie miałam żadnego ciekawego planu.

Razem z Milo mieliśmy studiować architekturę, otworzyć swoje biuro – on projektowałby budynki, a ja ogrody. Kochałam to, choć to bardziej były jego marzenia niż moje.

Milo był osobą, która bujała w obłokach, planowała i marzyła. Ja byłam z kolei takim trochę jego cieniem, który podążał za nim krok w krok. Uzupełnialiśmy się idealnie.

Szum i gwar zrywających się z krzeseł ludzi przywołał mnie z powrotem na ziemię. Często odpływałam w myślach. Nie miałam czego szukać tu, na Ziemi, kiedy moje serce i dusza rwało się do nieba.

Przerobiłam kilku psychologów. Każdy z nich jednoznacznie stwierdził, że nic mi nie jest. Że w ten sposób przeżywam swoją żalobę i na pewno nie zrobię sobie krzywdy.

– Idziemy na drinka – powiedziała Pam, która jako jedyna wytrzymała moje dziwactwa i jakoś przetrwała ze mną w akademickim pokoju przez cały czas trwania studiów.

– Dzisiaj wieczorem wyjeżdżam – oznajmiłam, starając się ukryć radość z tego tytułu.

Przez te wszystkie lata nie przywiązałam się do tego miejsca. Zresztą, od śmierci Milo nie zawierałam głębszych znajomości z nikim. Bałam się odrzucenia i ponownego cierpienia po stracie.

– Kiedy wracasz? – zapytała, obdarzając mnie pięknym uśmiechem.

Pam była takim promyczkiem. Zawsze wesoła, pozytywnie nastawiona do świata i ludzi. Lubiana przez wszystkich i zaangażowana w życie szkoły. Idealna przyjaciółka dla kogoś, kto tych przyjaciół potrzebował.

– Nie wracam – powiedziałam cicho. Nie zwierzałam się jej ze swoich planów, bo chciałam odejść niepostrzeżenie.

Wyszliśmy na dziedziniec szkoły, na którym wszędzie na ławkach i trawie siedzieli uczniowie różnych roczników. I to był najgorszy moment na reakcję Pam.

– Słucham?! – krzyknęła, zwracając na nas uwagę wszystkich oczu. – Żartujesz sobie ze mnie?

Miałam dwadzieścia cztery lata, a czułam się jak mała uczennica na szkolnym apelu, którą dyrektorka wywołała po imieniu i nazwisku, by zaśpiewała piosenkę.

– To spontaniczna decyzja – powiedziałam cicho, przyspieszając kroku, by uciec spod czujnych, ciekawskich spojrzeń.

Oczywiście, że skłamałam, bo o powrocie do domu, zaraz po zakończeniu studiów marzyłam, odkąd tylko tu przyjechałam.

I przez te wszystkie lata nic się w tej kwestii nie zmieniło. Nie chciałam być obiektem plotek. I tak większość ludzi tutaj miała mnie za dziwadło.

– Kłamiesz. Wiem to i jest mi z tego powodu strasznie przykro, bo myślałam, że się przyjaźnimy – odparła zawiedziona, próbując jednocześnie dotrzymać mi szybkiego tempa.

Zatrzymałam się raptownie, by raz na zawsze wyjaśnić jej pewne kwestie.

– Nie przyjaźnimy się – powiedziałam oschle. – Nigdy nie dałam ci ku temu powodów. Owszem, mieszkaliśmy razem, dogadywałyśmy się wyśmienicie, pomagałyśmy sobie, ale to wszystko. Z moich ust nigdy nie padły poważne deklaracje.

– Ale...

– Pam... – Westchnęłam, kładąc dłoń na jej ramieniu. – Nie szukałam i nie szukam przyjaciół. Nie angażuję się w żadne relacje, bo taka już jestem. Niczego ci nigdy nie obiecywałam.

Nie zdradziłam jej, co takiego wydarzyło się w moim życiu. Wyszłam z założenia, że przyjechałam tu z czystą kartą. Nikt mnie tu nie znał i nikt miał nie poznać.

Z tego samego względu przeprowadziliśmy się z rodzicami do innego miasta, żeby uniknąć tych pełnych współczucia spojrzeń, litościwego poklepywania po plecach i wiecznego zapewnienia, że ból z czasem minie.

Koleżanka stała z otwartymi ustami i łzami cisnącymi się do oczu, a ja właśnie tego chciałam uniknąć. Pożegnań, kiedy właściwie nie miałam najmniejszej ochoty na powitanie.

– Myślałam, że mnie lubisz...

– Bo lubię, głuptasie – odparłam ze śmiechem. – Po prostu w moim życiu nie ma miejsca na miłość i przyjaźń. Wolę swój tryb samotnika, bo samej siebie nie skrzywdzę, a inni już niestety mogą.

– Nie wszyscy ludzie są źli i krzywdzą – oburzyła się i nadymała usta jak mała dziewczynka.

– Najbardziej krzywdzą nas te osoby, które kochamy i im ufamy – powiedziałam i ruszyłam przed siebie, zostawiając skon-

sternowaną Pam samą.

Miałam świadomość, że to ja najbardziej raniłam ludzi tym, że nie dopuszczałam ich do siebie. A kiedy jednak komuś udało się choć na chwilę zaistnieć w moim życiu, szybko go odsuwałam, by moje serce nie drgnęło nawet na moment, bo to oznaczałoby ból.

Od śmierci Milo każdego dnia budowałam wokół siebie coraz większy mur. Zamknęłam się szczelnie w swojej skorupie i musiałam przyznać, że przywykłam do samotności. Nawet z rodzicami rozmawiałam bardzo rzadko, bo właściwie nie miałam im o czym opowiadać.

Po zajęciach dorabiałam w kawiarni lub spędzałam dni w bibliotece, ucząc się czegoś, czego nienawidziłam. Organizowałam sobie czas tak, by jak najmniej spędzać go ze znajomymi. Na wszystko miałam wymówkę i kiedy oni imprezowali, spotykali się, a niejednokrotnie już nawet brali śluby, ja siedziałam z nosem w książce lub tłumaczyłam się wyimaginowanymi migrenami.

Byłam dzikusem i miałam tego pełną świadomość, choć ludzie z jakiegoś powodu mnie lubili. Nie rozumiałam tego, choć domyślałam się, że stał za tym mój uśmiech, cierpliwe słuchanie, jeśli już ktoś cokolwiek do mnie mówił. Byłam zwyczajnie zawsze miła i uczynna.

Swoją niechęć chowałam pod maską. Może nie tryskałam energią, ale cały mrok skrywałam głęboko w sercu. Moją wadą, a jednocześnie zaletą była szczerość. Jedni to doceniali, a inni, tak jak Pam, traktowali jako atak. Składałam się z tak wielu sprzeczności. Żyłam, jednocześnie nie robiąc nic ze swoim życiem. Nie miałam marzeń, bo umarły razem z moim bratem. Nie potrzebowałam pasji. Byłam zamkniętą staruszką w ciele młodej kobiety.

Telefon w mojej kieszeni zawibrował, a na wyświetlaczu pojawił się numer mojego taty, który miał lada chwila po mnie przyjechać, by zabrać mnie do domu.

– Tatusi – powiedziałam czule, bo on i mama byli jedynymi osobami, które naprawdę kochałam, i których straty bałam się najbardziej.

– Cześć, słoneczko – przywitał się ze mną, jak zawsze, wlewając w moje serce miłość. – Będę pod akademikiem za jakąś godzinę.

– Fantastycznie, zdążę się spakować, bo wczoraj nie miałam na to czasu.

Miałam, ale przez godzinę siedziałam i gapiłam się w walizkę wsuniętą pod łóżko. Poza tym nie chciałam, by Pam poznała moje plany. Wolałam odwlec ten moment, by nie wysłuchiwać jej przekonywań, że powinnam zostać i tu układać swoje życie.

Tylko że ja go nie chciałam układać. Jediną moją potrzebą było pójście do pracy, wynajęcie mieszkania, by nie siedzieć rodzicom na głowie i przewożetować jakoś to moje nijakie życie.

– Jesteś tego pewna? – zapytał z dziwnym wahaniem.

– Powrotu? – Zdziwiłam się, bo zapowiadałam to już od bardzo dawna. Nie był to spontaniczny pomysł, bo takich nie miałam. Lubiłam, kiedy moje życie było ułożone pod liniijkę.

– Mhm – mruknął, jakby liczył, że zmienię zdanie.

– Niczego w życiu nie można być pewnym, dobrze o tym wiesz – powiedziałam nieco zbyt zgryźliwie.

– Ten kwas wyżre cię kiedyś od środka, zobaczysz – mruknął poirytowany.

– Tym lepiej. Ulżę sobie i całemu światu.

– Sunny... – Westchnął ciężko, ale tak zawsze wyglądały rozmowy ze mną.

– Nie potrafię się cieszyć niczym, tato. Chciałabym, ale od razu uderza we mnie myśl, że to nie w porządku wobec Milo. On też chciałby być tu ze mną. Móc śmiać się, uczyć, dojrzewać...

Urwałam, kiedy gorzkie łzy spłynęły mi do gardła. Myślałam, że po jakimś czasie się zwyczajnie kończą. Myliłam się. Wylewałam ich nocami ogrom, by w dzień założyć maskę i udawać, że wszystko jest w porządku.

– Chciałby też, żebyś ty żyła pełną piersią. Skarbie, minęło pięć lat. Czas ruszyć z miejsca, bo stracisz najlepsze chwile. Życie przepływa ci się przez palce niczym piach.

Ta dyskusja nie miała sensu, a jednak rodzice za każdym razem

próbowali w taki lub inny sposób na mnie wpłynąć. Walczyli, choć ja poddałam się już na starcie. Szukali przyczyny mojego zachowania. Zakładali depresję, którą każdy psychiatra wykluczał. Byłam zdrowa, a jednak moja dusza cierpiała, a ból rozrywał od środka.

Próbowałam zostawić to wszystko z tyłu, ale tęsknota i poczucie winy trzymały mnie w miejscu niczym ciężka, żelazna kula uczepiona u nogi.

– Może potrzebuję kolejnych pięciu lat? – zapytałam bardziej siebie niż jego.

– Niebawem będę – powiedział, ignorując moje rozterki i się rozłączył.

Znów zostałam sam na sam ze swoimi myślami i z wizją, że urażona Pam wparuje mi niebawem do pokoju.

Pakowałam się więc w pośpiechu. Na szczęście nie miałam wielu rzeczy. Zmieściły się w jeden, duży karton. Ubrania upchnęłam do walizki.

Nie posiadałam niepotrzebnych bibelotów. Jedynym towarzyszem przez te wszystkie lata był pluszowy piesek, którego podarował mi brat. Rodzice nigdy nie chcieli się zgodzić na zwierzaka, więc ofiarował mi jego pluszową wersję, mówiąc, że kiedyś jak się wyprowadzimy z domu, kupimy sobie dokładnie takiego psa jak ta zabawka.

Spojrzałam w świecące brązowe oczka i się uśmiechnęłam. Milo miał sto pomysłów na minutę i potrafił poprawić nastrój w chwilę. Nie było dla niego rzeczy niemożliwych i był w stanie przeskoczyć każdy mur. Podczas gdy ja teraz ledwo robiłam krok do góry, by wspiąć się na kolejny stopień mojego życia.

Prawdą było, że bałam się każdego dnia. Nie lubiłam podejmować ryzyka, a za takie brałam nawet spotkanie się z facetami.

Cudem zrobiłam prawo jazdy, ale unikałam samotnej jazdy autem.

Tak bardzo bałam się śmierci, że właściwie przestałam żyć. Byłam paradoksem.